



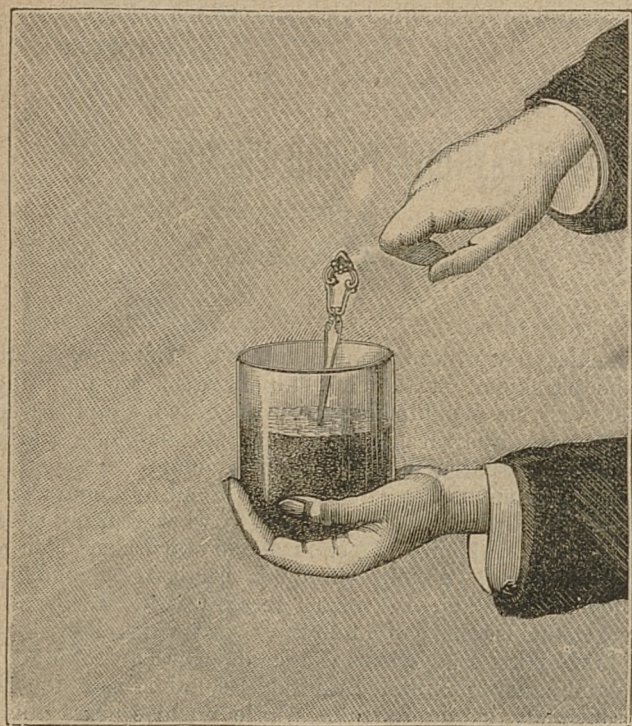
WIECZORY W RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Kto już ma elektrofor, opisany szczegółowo w Nrze 44, może sobie urządzić butelkę lejdejską i naładować ją, to jest zgromadzić w niej większą ilość elektryczności za pomocą

elektroforu. Bierze się do tego szklanka zwyczajna, wsypuje się w nią trochę drobnego śrótu myśliwskiego, a w ten śrót wkłada się łyżeczkę kawianą. Wszystko to przedstawione jest dokładnie na rysunku. A teraz można przystąpić do naładowania butelki lejdejskiej. Gdy elektrofor przygotowany jest do działania, według opisu, do tacy, zamiast palca, przybliży się koniec wystający rączki od łyżeczki. Iskierka wytrysnie, a łyżeczka ją pochłonie i zatrzyma w sobie. Tym sposobem wprowadza się do butelki kilka iskier, to jest pewną ilość elektryczności, wywiązanej przez tarcie w elektroforze. Do takiej naładowanej butelki, to jest do tejże samej rączki od łyżeczki, przybliży się następnie palec, a wytrysnie z niej iskra o wiele silniejsza. Są butelki lejdejskie, gromadzące taką znaczną ilość elektryczności, że nie radzilibyśmy wam dotykać ich rękami, bo wyładowanie może sprawić wstrząśnienie gwałtowne, a nawet groźne.

Butelka lejdejska należy do najdawniejszych przyrządów elektrycznych, własności jej wykrył fizyk Mussenbroeck z Leydy w r. 1746. Już wówczas od lat kilkudziesięciu uczeni pilnie śledzili i badali szczególne zjawiska tej tajemniczej siły, a wytwarzano ją tylko za pomocą tarcia szkła lub żywicy. Urządzano np. duże kule lub walce szklane, obracane za pomocą korby w taki sposób, iż ocierały się silnie o szczotki włosiane; wywiązująca się ztąd elektryczność sływa na pręty metalowe, zwane przewodnikami, za pośrednictwem tych przewodników przeprowadzano ją na różne przedmioty.

Mussenbroeck posiadał taką maszynę elektryczną i rozliczne z nią odbywał doświadczenia. Przyszło mu raz na myśl

naelektryzować wodę w butelce szklanej, chciał tym sposobem nagromadzić i uwięzić znaczniejszą ilość téj siły w wodzie, wiedział bowiem, że szkło nie wypuści elektryczności na zewnątrz. Przytwierdził więc butelkę z wodą do przewodnika maszyny i wprowadził kulę szklaną w ruch. Tym sposobem elektryczność, powstająca na téj kuli w skutek tarcia, spływała następnie na przewodnik metalowy, a ztamtąd prosto się dostawała do wody. Po pewnym przeciągu czasu Mussenbroeck, trzymając swoją butelkę jedną ręką, drugą odjął ją od przewodnika maszyny. Lecz w téj chwili doznał tak gwałtownego i silnego wstrząśnienia, że o mało uie upadł na ziemię. Było to coś naksztalt uderzenia, które dało mu się czuć szczególnie w piersiach i ramionach, Mussenbroeck porównywał to z uderzeniem piorunu.

Od téj pory wszyscy fizycy zaczęli urządzać takie butelki, które od miasta Lejdy, gdzie je wynaleziono, przezwano lejdejskimi. Przekonano się następnie, że dogodniej jest, zamiast wody, włożyć do butelki trochę śrócin ołowianych, lub złota w listkach, a z wierzchu oblepić ją cynfolią. Dziś wyklejają je i ze środka takąż samą cynfolią. Rzecz głównie na tém polega, że obie powierzchnie butelki, wewnętrzna i zewnętrzna, całkowicie są od siebie oddzielone. Elektryczność ma własność bardzo dziwną, zupełnie się tak sprawuje, jakby się składała z dwóch tajemniczych jakichś płynów, które w połączeniu wcale się czuć nie dają; dopiero gdy się rozdziela, zaczynają się wysilać i natężyć, jakby się gwałtownie znów połączyć chciały, każdy zaś z obu płynów podobny sobie odpycha. Wówczas to powstają te iskierki, te wstrząśnienia, a i straszne pioruny w chmurach niczém inném nie są, tylko potężném zetknięciem dwóch rozłączonych elektryczności.

Toż samo na małą skalę dzieje się w butelce lejdejskiej. We środku nagromadza się jedna elektryczność, na zewnątrz druga; prąd, płynący z maszyny, rozdziela je w taki sposób, że skupia we środku jedną, drugą wypycha na zewnętrzną stronę. Trzeba jednak pamiętać, że to się tak tylko zwykle mówi nie mogąc pojąć, w jaki sposób siła ta działa po obu stronach szkła butelki, przypuszczamy, iż tam się coś nagromadzać musi, ale co? Zagadka to nierozwiązana. Otóż gdy się tak obie elektryczności rozdziela i nagromadza w znacznej ilości, butelka jest naładowana. Aby teraz sztuki swoje pokazała, potrzeba ją wyładować, to jest urządzić połączenie pomiędzy obu elektrycznościami. Uczynił to właśnie Mussenbroeck, chwytając ręką pręt metalowy, który wchodził do wody, trzymał on bowiem jednocześnie drugą ręką zewnętrzną stronę butelki. Obie elektryczności znalazły sobie wygodną drogę, przechodząc przez ciało jego i przy serdeczném powitaniu tak nim gwałtownie wstrząsnęły. Wy to samo zrobicie, dotykając sterczącej ze śrócin rączki od łyżeczki, bo i w téj waszej butelce podobne zupełnie zachodzą zjawiska. Elektrofor zastępuje maszynę, udziela on po troszkę wytwarzanej przez siebie siły owym śrócinom, elektryczność rozdziela się na dwoje, jedna wewnątrz szklanki się sadowi w śrócinach, druga na powierzchni zewnętrznej. Gdy za pośrednictwem rąk waszych obie się łączą, muszą także przez ciało wasze przebiec. Tylko że taka mała ilość elektryczności nie może wywołać wstrząśnienia, tylko malutką iskierkę. Dlatego to nie trzeba dotykać nagle łyżeczki, lecz przybliżać rękę ostrożnie, aż póki iskierka nie wystrzeli. To ele-

ktryczność, stęskniona do swojej drugiej siostrzyczki, z wielkiego wysilenia błyska płomyczkiem.

ŻEBRAK.

Żebzak jestem zgłodniały, tułam się po świecie,
Nigdzie chaty, ni dachu, i nigdzie ogniska...
Czyli słonko przygrzewa, czy śniegi, zamiecie,
Jam zawsze jest sam jeden wśród ludzi mrówiska.
I tak idąc samotnie, dziś stary kaleka
Wapominam dni młodości, co zbiegły jak mara,
I pierzchły jak mgła ranna przezrocza i lekka,
A wśród życia została tylko cierpień czara.
Lecz tych cierpień, téj nędzy, któż mi jest przyczyną?
Czy ludzie napotkani podczas życia biegu,
Czy lata, co jak woda, nie wracając płyną?...
Ja sam, sam jestem winien, bo gdy do szeregu
Każdy w pracy podążał, ile kto miał siły,
Jam tylko jeden został... Zabawy, uciechy,
Naokół mnie szła taki z próżniactwa wznosiły,
Żem nie widział czy łyż są, lub na nie pociechy...
I naukę i pracę gardziłem niedbale,
Zdało mi się, że młodość nigdy nie przeminie,
O starości, o biedzie, nie myślałem wcale:
Marzyłem, że fortuna ręką na mnie skinie,
I przy obfitym stole wśród innych posadzi...
Lecz niestety! fortuna zwróciła wzrok hardy
Do tych, którzy wśród troski każdej pracy radzi,
A mnie rzuciła uśmiech litości i wzdargy...
I oto, zmarnowawszy młodość bez nauki,
Dzisiaj jestem kaleką, podwójnym kaleką...
Noga nosić mnie nie chce, duch rwie się na sztuki,
A ja idę, wciąż idę w mą podróż daleką.
I powtarzam wciąż jedno: Dajcie grosz starcowi,
Bo umiera już z głodu, sił mi wkrótce zbraknie,
On za waszą jałmużnę w podzięce wam powie:
„Kto pracował za młodu, na starość nie łaknie.

Z. Morawska.

PRZYGODY WŚRÓD PUSZCZY

Z OPOWIADANIA MŁODEGO PODRÓŻNIKA,

napisła Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

To rzekłszy, wprowadził mnie do niewielkiej izby, zastawionej bednarskimi statkami. Odpocząwszy trochę, a potem posiliwszy się w poblizkiej restauracyi, mój Juras poszedł w swoją stronę, a ja zacząłem chodzić po mieście, czytając nazwy ulic i przypatrując się starym domom. Tak zaszedłem na ulicę niemiecką, gdzie stoi kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, założony w XVI wieku, jak się to dowiedziałem od jakiegoś przechodzącego staruszka. Ten mi zarazem powiedział, że najpiękniejszy i najstarszy budynek przy ulicy niemieckiej, w którym teraz jest dom zajezdny, zowie się hetmańskim, a wybudowany jest przez Potockich, którzy także jakiś czas byli właścicielami Białegostoku.

Te same czasy pamięta i uliczka Kleindorf nad stawem. Na niej ciągnęły się domy zamieszkałe niegdyś przez muzykantów czeskich, składających nadworną kapelę hetmańską. Z całej wspaniałości budynków pozostałych z owych czasów znać, że Białystok nie zawsze był cichém fabrycznym miastem, znać w nim dawną rezydencyą wielkopańską, o czém świadczy i poblizki laszek ze śladami dobrze urządzonego zwierzyńca i piękne w okolicy pałacyki, któreśmy szybko mijali jadąc wózkiem, zaprzężonym dwoma niewielkimi lecz silnymi gniadoszami, które tu na Juras czekały.

Zdziwiłem się bardzo, gdy mi Juras wskazał wózek ów, którym odbyć mieliśmy dalszą podróż. Byłem najpewniejszy, że od Białegostoku pójdziemy sobie pieszo, a ja w tej podróży doznam wielu przygód, przedewszystkiem dam dowód, iż mam siły, wytrwałość i nikomu wyprzedzić się nie dam. Tymczasem wózek nasz toczył się najprozaiczniej w świecie po równej drodze, dzwonki u upręży kołysały się, przerywając ciszę i rozbrzmiewając echem daleko. Czasem pies zaszczekał, człowiek pozdrowił, gdyśmy przez wieś przejeżdżali, a słońce już się chyliło ku zachodowi. Przyszła, doznałem pewnego zawodu, marzyłem, iż co chwila w podróży napotkam nowe wrażenia, a tu już drugi dzień upływał, nie przynosząc ani pięknych widoków, ani wypadków godnych zanotowania. Nocleg w jakiejś niewielkiej karczemce, ani też wypoczynek w południe, nie mógł być policzony do nadzwyczajności, jedna tylko przeprawa promem przez Narwę ocuciła mnie ze zniechęcenia, które już mnie zaczynało ogarniać. Aż oto gdyśmy wyjechali dobrze już ku zachodowi słońka z długiego popasu, kraj jakoś inaczej zaczął mi się przedstawiać, a powietrze lekkie i orzeźwiające podziało na mnie. Towarzysz mój, który rozgadawszy się na chwilę w Białymstoku, znowu zapadł w milczenie, spojrzał teraz na mnie z ukosa i rzekł:

— A no, paniczku, dobrze że sobie odpoczywacie na wózku, bo potem w puszczy to już nogi wasze odpowiadają będą.

— O jakiej puszczy mówicie, panie Jurasie — rzekłem, prostując się i spoglądając dokoła.

— No, o jakiejże, o naszej, o Białowiezkiej.

— Czyż my przez nią przejeżdżać będziemy? — zapytałem z niedowierzaniem.

— A przecież nietylko przejeżdżać, bo i zamieszkanie w niej czas jakiś.

— Jakto, przecież mówiliście mi, panie Jurasie, że mieszkacie w Nieznanowie.

— A no tak, lecz Nieznanowo jest to wieś w puszczy, w hajnowskiej straży.

— Jakto, wieś w puszczy, w lesie, a więc ja jadę do puszczy Białowiezkiej i dotąd nic o tym nie wiedziałem?

— Nie pytałeś mnie o to, mój panie Bolku, ja też wam nie mówiłem.

— Ach, ależ ojciec! — westchnąłem z prawdziwym wyrzutem. Lecz przypominałem sobie, że ja tak byłem zrazu ucieszony tą podróżą, iż wcale nie pytałem, gdzie jadę, a ojciec najwidoczniej był w zмовie z Jurasem i żartował sobie z mojej chętki do podróży, przy rozpoczęciu której nie zapytałem nawet, co tam zobaczyć mogę, tylko pędziłem, dając się wieść, jakby jakiś martwy przedmiot. Zawstydzilem się trochę, bo przecież nie chciałem uchodzić za bezmyślne stworzenie, a doprawdy za takie mógł mnie mieć mój towarzysz. Myśli te przemknęły mi lotem przez głowę, nie wiedziałem, czy mam wierzyć, że zamieszkam w puszczy, czy też uważać to wszystko za żart, gdy tymczasem smuga czerniejących drzew przed nami, coraz gęstsze po obu bokach drogi zarośla i owa woń orzeźwiająca w powietrzu, kazały mi się domyślać, że rzeczywiście zbliżamy się do lasów. Puszcza, puszcza Białowiezka, wyrazy te brzmiały mi w uszach, serce biło gwałtownie. Marzenia moje miały się urzeczywistnić! Zawczasu już snulem tysiące najpiękniejszych obrazów, które jednak nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, jaka mi się przedstawić miała.

O puszczy Białowiezkiej wiedziałem z geografii, że leży w guberni grodzieńskiej, powiecie prużańskim, że zajmuje obecnie 1054 wiorst kwadratowych, i jest miejscem jedynym w Europie, gdzie żyją jeszcze żubry. O tym jednak, żeby tam mieszkali ludzie, nigdy a nigdy nie słyszałem.

— A to dobrze się stało, że pan Bolek nie wiedział, gdzie go wiozą, bo możeby umknął z drogi, gdyby się dowiedział, że jedzie do puszczy — rzekł Juras, patrząc na mnie żartobliwie z pod oka.

— Co! ja miałbym umknąć! ależ chciałbym jaknajprędzej dostać się do puszczy, pragnąłbym ją przejść od brzegu do brzegu...

— Zwolna, zwolna, mój paniczku, nie tak odrazu, zmęczysz się i zabłądzisz, ba i zwierzę jakie mogłoby poturbować — rzekł Juras, uśmiechając się po swojemu.

— Ho, ho, mam przecież rewolwer, — rzekłem, wkładając rękę do kieszeni, w której umieściłem ową broń zabójczą.

— Ech, to tam o tym potem — odparł mój towarzysz — a tylko proszę bardzo, żeby się pan Bolek nigdzie bezemnie lub mego najstarszego syna nie oddalał; bo w puszczy zabłądzić łatwo, a chociaż ona uporządkowana, poprzecinana drogami i podzielona na dwanaście straży, gdy się jednak wejdzie w głąb lasu, można i dni kilka błądzić, nim się dojdzie do drogi lub spotka przewodnika. Bo to widzi panicz, puszcza nasza jest podzielona prawie na dwie równe połowy rzeką, Narawką, oprócz tego, Jasiołda, Lśna, Gwoźdnia i Biała, zabierająca Lśną i uchodząca do Bugu, przepływają puszcze w różnym kierunku; z temi rzekami łączy się znów dużo strumieni, są błota, które tak czynią drogę mylną, że tylko człek tu urodzony, co zna prawie każde drzewo, trafia łatwo z obrębu do obrębu. Trzeba i o tym wiedzieć, że każda straża dzieli się na obręby, a ja mieszkam w hajnowskiej straży a we wsi Nieznanowo. Każdy obręb ma swego nadleśnego, który znów pilnuje leśników, żeby strzegli i drzew w obrębach i zwierza po uroczyskach i ostępach. Ja bo tam nie jestem leśnikiem, tylko tak oto osadnikiem w Nieznanowie, chata moja nawet stoi zupełnie z dala od wsi na uboczu.

— Jakto, więc w owej puszczy są i wioski, i ludzi. mieszkają, jak wśród pól? — zapytałem ze zdziwieniem.

— A tak, tylko że nam tutaj w puszczy jest lepiej, ciszej a zdrowiej; drzewa szumią, gadają ze sobą, jedno drugiemu pieśń przesyła, a echo te pieśni roznosi od ostępu do ostępu, od straży do straży, aż nareszcie, gdy sobie wszystkie jedno poddadzą, zaczyna się pieśń wszystkich drzew razem, Oj, pieśń to taka, jakiej nigdzie nie usłyszysz, choćbyś żył lat sto, ba i więcej nawet. Oj, bo te drzewa śpiewają wszystko, co przez wieki słyszały, co tylko echo im z całego świata przyniosło; a tak jakoś przemawiają dziwnie do człeka, że ich mowę od razu zrozumie. I czuje to, co one mu mówią, a raz na sercu tęskno i żałośliwie, drugi raz rozkosznie się robi. Ale co to tam gadać — rzekł Juras, machnąwszy ręką — aby głos puszczy zrozumieć, trzeba się w tej puszczy urodzić. A oto lepiej wam, mój panie Bolku, powiem, że w naszej Białowieży jest ludzi niemało. Bo oprócz zamieszkałych obrębów w strażach, są jeszcze wsi skarbowe wśród puszczy. Prócz zaś owych straży, o których mówiłem, w r. 1846 podzielono puszcze na pięć leśnictw, nad któremi ma opiekę nadleśniczy, czyli forstmajster, mieszkający w Królowym Moście.

— A może my przez ten most przejeżdżać będziemy? — przerwałem.

— Och, nie, my sobie najpierw pojedziemy bocznym traktem, a potem wjedziemy na trakt główny, przerynający puszcze od Grodna do Kamieńca, a potem znów skęcimy boczną drogą do hajnowskiej straży. Nie potrzebujemy więc skręcać na Królowy Most, który był wystawiony na rzece Białej jeszcze w onych czasach, kiedy tu August III zjeżdżał na polowanie.

— Jakto, więc ja nie zobaczę owego mostu? — zapytałem.

— Ale zobaczysz, mój paniczku, zobaczysz! Pójdziemy wszędzie, i na Królowy Most, i na Batorową Górę, gdzie król Stefan wyprawiał ucztę dla myśliwych, i na Jelenie rogi, gdzie Władysław Jagiełło, spadłszy z konia, złamał nogę; wszędzie pójdziemy...

— A żubra zobaczę? — zapytałem, przerywając.

— Ha, zapewne, chodząc tak po puszczy, to się i spotka to piękne i wspaniałe zwierzę — odparł mój towarzysz.

— Alboż to tak trudno żubra napotkać? — pytałem niecierpliwie, mając przytęm potajemne życzenie zapolowania na owo zwierzę, które znałem tylko z opisów i z rycin.

— Tak chodząc w najgłębsze knieje, nie trudno żubra napotkać, chodzą one stadami po dwadzieścia i więcej. Od czasu jak porządek należyty zaprowadzony i kara nałożona

za zabicie bez zezwolenia nadłego tego pięknego zwierza, to liczą w puszczy do pięciuset żubrów. W straży naszej hajnowskiej jest ich najwięcej, ale to takie wielkie zwierze, że kto nie przywykł do jego widoku, to się i przestraszyć może. A niebezpiecznie jest drażnić je krzykiem lub rzucaniem gałęzi wprost przed jego ślepie, albo migotaniem czerwoną chustą. Ostrzegam was o tém, panie Bolku, boć to zdarzyć się może, że chodząc po puszczy napotkamy je przedzierające się z ostępu do ostępu.

W tém jakby na zawołanie usłyszeliśmy w oddali łamiące się gałęzie, najpierw głucho chrapotanie, potem ryk, który dziwnie mną wstrząsnął. Ryk to był jakiś zrazu głuchy, potem coraz głośniejszy, powtarzający się co chwila, niepodobny do żadnego dotąd słyszanego przezemnie głosu. Cisza uroczysta wśród niebotycznych drzew lasu, przerywana tym ponurym, powtarzającym się głosem, takie na mnie wywarła wrażenie jakiejś grozy, że oddech w piersi wstrzymałem, oczy otworzyłem szeroko i w niemém zdumieniu przysłuchiwałem się temu graniu. Zdawało mi się, iż słyszę potężne hasło króla puszczy, nawołujące wszelkie stworzenie do uległości i porządku. Zdawało mi się, że drzewa, co tak dumnie ku górze wznosiły wierzchołki, drobne krzewy, aż do mechów, porastających ziemię, wszystko w pokorną uległość słuchało tego rozkazu. Słuchałem i ja, nie śmiąc się odezwać, Juras przechylił głowę i również słuchał tego odgłosu z takim zachwytem, jak się słucha najpiękniejszej a ulubionej melodyi. Konie nawet szły wolniej, a światło księżyca, przedzierające się srebrnym blaskiem przez gęste drzew konary, zadrgało nagle migotliwiej, potem jaśniało spokojnie, jakby i ono było tam tylko po to, aby oświecało drogę panu całej puszczy. Ryk umilkł, drzewa szumem dopowiadały sobie dalej ciąg owego hasła, wózek toczył się jak pierwój, księżyc znów śmielej się przedarł, a Juras z zadowoloną miną zwrócił się ku mnie.

— A to nam zagrał! — znać przewodnik całego stada przeprowadził je z ostępu do ostępu; przy takiem graniu wśród nocy, to człowiek może zapomnieć o całym świecie! A pan Bolek może go się wystraszyć?

— Co, ja? ależ, panie Jurasie, jabym stanął do walki i śmiało strzelił nawet do zwierza! — rzekłem, budząc się z zachwyty i przybierając minę junaka.

— Zwolna, zwolna, mój panie śmiałku! — odparł Juras. — A zaraz strzelił! Nie wstydzicie się, paniczku, wrażenia, jakie na was ten ryk uczynił, widziałem ja ludzi starych, co już Bóg wie jakie zwiedzali kraje, a gdy usłyszeli ryk króla naszej puszczy, to im się jakoś markotno koło serca robiło.

— Ja się przecie nie przeląkałem — odparłem śmiało — zadziwiłem się i wsłuchiwałem, bo rzeczywiście głos ten ma w sobie coś majestatycznego, lecz nie myślcie, panie Jurasie, żebym się zląkł zwierza i gdyby tylko można, śmiałobym stanął z nim do walki.

(d. c. n.)

Sprawozdanie Kazia z zadania konkursowego.

Muszę sobie przedewszystkiém oddać tę sprawiedliwość, że mi się udało tym razem wybrać wcale niezły przedmiot do zadania. Oczywiście tego dowodem jest ogromna ilość wypracowań, z których *najlepsze* trudno bardzo wybrać, bo prawie wszystkie są dobre. To jedno mnie smuci, że szanowni koledzy zawsze jakąś nieufność czują do mnie i teraz wśród tego mnóstwa odpowiedzi jedna tylko, jedyna, podpisana jest pseudonimem męzkim, a zdobył się na nią nieustraszonego Tygrysa! Pocieszam się jednak tą myślą, że nie tyle brak ochoty, ile brak czasu stoi kolegom na przeszkodzie. Przepraszając więc zawczasu wszystkie łaskawe panienki, których odpowiedzi jedynie dla braku miejsca nie mogą być zamieszczone, podaję do nagród następujące:

Odpowiedź 13-letniej Niezapominajki z nad Grabówki.

Z pomiędzy różnych postaci, znanych mi z nauki historii

i literatury, szczególną sympatją budził we mnie zawsze Jan Kochanowski, autor prześlicznych Trenów, których dzieckiem jeszcze będąc z taką uczyłam się przyjemnością. Sądzę, że żadnemu z czytelników obcem już nie jest nazwisko naszego śpiewaka z Czarnolesia, zresztą już i „Wieczory” podały obszerny jego życiorys; postaram się więc tylko wykazać, dla czego tak wysoko stawiam zasługi Jana Kochanowskiego i pod jakim względem pragnęłabym go naśladować.

Zapoznawszy się już trochę z dziejami literatury ojczystej, zrozumiałam, że oprócz talentu poetyckiego, który jest darem nieba, Kochanowski położył nieocenione zasługi nad udoskonaleniem mowy ojczystej. Kochając kraj i wszystko, co swoje i narodowe, nie mogło mu być obojętném, że obca, łacińska mowa wyrugowała zupełnie z użycia mowę przodków jego, tę mowę, która dla duszy poety tyle miała wdzięku. To też wystąpił śmiało i pierwszy w kraju zaczął pisać po polsku. Służenie mogę tu powiedzieć: pierwszy, bo nie liczę tego Rejowi za zasługę, że nie pogardził językiem ojczystym, skoro nie znał żadnego innego. Ale Kochanowski odebrał bardzo staranne wychowanie, nie były mu obce, ani mowa francuska, ani łacińska, ani włoska, a jednak z obczyzny (bawił naten czas w Paryżu) przysłał do Polski piękny swój wiersz: „Czego chcesz od nas Panie” i t. d.

Z powrotem do kraju z całą wytrwałością pracował w tym że samym kierunku, nie zrażając się trudnościami, jakie zwalczać musiał. To też język polski wykształcił się, złagodniał i nabrał szczególnej dźwięczności pod piórem Jana z Czarnolesia, tak, że trudno prawie uwierzyć, aby mu Rej był współczesnym.

Po takim przykładzie, przekonali się ziomkowie, że i w mowie ojczystej cudne stwarzać można rzeczy i odtań, z małemi przerwaniami, nie ubiegali się już tyle za cudzoziemczynią.

Ta to właśnie zasługa, to ukochanie mowy rodzinnej, tak wielkie wzbudza we mnie uwielbienie, że postanawiam obok zaznajomienia się z obcymi językami, które nam w życiu często są potrzebne, ukochać przedewszystkiém język ojczysty i starać się go poznać gruntownie, aby mózdz tém lepiej zrozumieć całą jego piękność i bogactwo.

Niezapominajce z nad Grabówki ofiaruję w nagrodę fotografię, przedstawiającą Jana Kochanowskiego przy zwłokach Urszulki, według obrazu Matejki.

Odpowiedź 13-letniej Wiochny z pod Lublina *).

Przeczytawszy ogłoszenie o zadaniu konkursowém, postanowiłam wziąć w niem udział i w myśli zaczęłam wyliczać najsympatyczniejsze mi postaci z dawnych czasów, z którymi się zapoznałam w nauce historii i literatury. Ze zdziwieniem jednak spostrzegłam, że liczba ich jest dosyć znaczną i przedstawiła mi się wielka trudność wyboru; bo ta postać wzbudza we mnie uwielbienie, inna szacunek, inna jeszcze współczucie. Którą wybrać? aż nagle stanęła w mej pamięci postać tak szlachetna i wzniosła przymiotami duszy, że bez namysłu wybrałam ją sobie na temat dzisiejszego zadania. Bo i czemuż nam koniecznie sięgać w dawno ubiegłe czasy, skoro sama już miałam szczęście poznać człowieka, który dorównał bohaterom przeszłości, dając nam życiem swoim wymowny przykład wszelkich cnót, a mianowicie prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia.

Mówię tu o ś. p. biskupie lubelskim, Kazimierzu Wnorowskim, którego skromne imię, choć obce reszcie świata, znane i drogie jest zapewne wszystkim jego współziomkom, umiejącym uczyć prawdziwą cnotę, a takich przecie nam nie brak. O życiu ś. p. biskupa Wnorowskiego była już wzmianka w „Wieczorach”, nie będę więc tu wspominać tego, co wszystkim pewno bardzo dobrze jest znane, chcę tylko wykazać, dla czego przenoszę tego czcigodnego kapłana nad wielu innych ludzi zasłużonych. Jako mieszkanka jego dyecezyi, tak często słyszałam jeszcze za życia biskupa o zdarzeniach,

*) Dodatek ten dopisaliśmy do pseudonimu dla tego, że mamy już inną Wiochnę korespondentkę.

w których okazał tyle dobroci, łagodności i litości, że ze zdziwieniem słuchałam nieraz, jak wiele jeden człowiek dobrego zdziałać może.

Największy nędzarz miał wstęp do niego o każdej porze, a równie chętnie niósł pomoc biedakom innego wyznania, jak własnym swym owieczkom. Dzieci lubił bardzo, a objeżdżając lubelskie, po objęciu stolicy biskupiej, zawsze zgromadzał

w życiu mojem choć w części, bo wedle mój możliwości, naśladować ten przykład.

Wiochnie z pod Lublina ofiaruję notesik w ozdobnej oprawie.



Żebrak (str. 386).

mlodzież koło siebie, uprzejmie rozmawiał z nią i obdarowywał obrazkami świętych i medalikami. Mnie również dostała się taka miła pamiątka, którą starannie zachowuję. Dorocznność biskupa Kazimierza była niewypowiedzianą, wszystkie swe dochody rozdawał ubogim, a nawet jeszcze na ożu śmierci, nie mając nic innego, ostatnie buty dał jakiemuś biedakowi. To też pogrzeb tego dostojnika był wymownym owozem uwielbienia, jakie wzbudził dla siebie; ludność wiejska i miejska, żydzi nawet, zgromadzili się licznie i Lublin od awna nie pamięta tak uroczystej chwili. Nic więc dziwnego, że znając szczegóły tak zacnego żywota, chciałabym

Odpowiedź 14-letniej Jaskółki z nad Sekwany.

Po dosyć długiem rozmyślaniu, wybrałam Zofię Chrzanowską, żonę Samuela Chrzanowskiego, starosty Trembowelskiego. Opowiem czyn jej, który skłonił mnie do uczynienia tego wyboru.

Było to w roku 1674. Dowiedziawszy się, iż Turcy wkroczyli do Polski, Samuel Chrzanowski schronił się z żoną do miasta Trembowli i wszystko przygotował do obrony. Niezadługo Turcy oblegli miasto. Dowódca ich wyprawił posła do starosty, wzywając go, ażeby miasto oddał nieprzyjaciołom. Oburzony starosta odprawił go z odmowną odpowiedzią. Tur-

cy więc zaczęli bombardować miasto, które po krótkim przeciągu czasu stanęło prawie całe w płomieniach.

Wówczas nieprzyjaciół znowu wezwał twierdząc do poddania. Chrzanowski już nie odpowiedział tak stanowczo, rzekł, iż zwoła radę i uczyni podług jej postanowienia. W radzie starszyzna była dwójakiego zdania, lecz większość chciała, aby zaraz oddano miasto, bo mniemano, że niema już nadziei ratunku, że nieprzyjaciół może zdobyć miasto szturmem, a wtenczas los ludności byłby straszny. Chrzanowski, wahać się, poprosił o czas do namysłu i wrócił do siebie.

Pani Chrzanowska wiedziała już, co się działo w radzie; gdy więc zobaczyła męża, zbliżyła się do niego z pistoletem w rękę i zawołała: „Jako! możesz się wahać? mógłbyś oddać nieprzyjaciołom miasto, które jest tobie powierzonym? Czy nie wiesz, że byłbyś wtenczas zdrajcą! Słuchaj! jeżeli tego haniebnego czynu się dopuścisz, to ja cię własną ręką zabiję, a potem siebie samę. Wybieraj więc!”

Słyszając te słowa, Chrzanowski oniemiał, potem zrozumiawszy, iż żona ma słusność, zwołał znowu radę i tak mężnie przemówił, że wszyscy przekonani gotowali się do uporczywej obrony.

W kilka dni potem ujrano z daleka proporce polskie: był to król Sobieski z licznym wojskiem. Łatwo pobił Turków i uwolnił miasto, dzięki dzielnej niewieście, która dodała odwagi mężczyznom i swém bohaterskim mężstwem ocaliła miasto.

Wybrałam tę postać, bo czyn jej spodobał mi się, a może dla wszystkich być przykładem, bo mężstwo jest rzadkiem u kobiet i dla tego powinniśmy tém więcej cenić te, które je posiadają.

Jaskółce z nad Sekwany ofiaruję fotografią: „Pożar Krakowa” z obrazu Matejki.

Odpowiedź 13-letniej Aurykli.

Bywając co niedziela na Bielanych na Mszy Św. i patrząc tak często na grób ś. p. Staszica, nie szukam innych przykładów do naśladowania, bo dosyć być tak cnotliwym, jak on był.

Staszic, urodzony w stanie miernym, bo był synem burmistrza, przez naukę doszedł do tego, że powołanym był na dwór hr. Zamoyskiego dla kształcenia jego synów i zostawał tam lat 20, a zebrawszy fundusik przy błogosławieństwie Bożem, powiększył go i obrócił na dobro bliźnich ubogich, którym śpieszył z pomocą. Zrobił on dla nich tak wiele dobrego, że imię jego ze czcią jest wspominane, a także pozostawił wspomnienie w sercach swoich przyjaciół. Często bardzo wyjeżdżał do Białej i tam będąc otoczony młodzieżą, nauczał ich, lub też odpoczywał nad brzegami Wisły, spoglądając z zachwyceniem na srebrzyste jej fale. Urodził on się w roku 1755, umarł w roku 1826 i według swjej woli został pochowany w ulubioném miejscu na Bielanych, a dobra młodzież, kochająca go bardzo, staraniem swém wystawiła mu pomnik. Wielkie są jego zasługi, a jego cnoty każdyby powinien naśladować. Zazdroszczę tym, którzy się znajdowali w jego towarzystwie, słuchając mądrych nauk jego i pragnę posiadać jego cnoty, a szczególnie cnotę miłości bliźnich.

Aurykli ofiaruję notesik w ozdobnej oprawie.

Odpowiedź 13-letniego Tygrysa.

Jan III Sobieski, syn Jakóba Sobieskiego kasztelana krakowskiego, urodził się w 1624 roku. Był to król wielki w dziejach Polski, mężny, roztropny w boju i radzie, prawie całe swe życie przeżył w bojach. Był to mąż szlachetny, sprawiedliwy i wspaniałomyślny. Pogromem nad Turkami pod Wiedniem oswobodził zachód od jarzma tureckiego. Zgon jego przyśpieszyły domowe nieporozumienia. Umarł mając lat 72, panował od roku 1673 do roku 1696, lat 23. Chciałbym naśladować jego mężstwo, wspaniałomyślność, roztropność i wytrwałość.

Koledze Tygrysiowi ofiaruję wizerunek jego bohatera, w dług obrazu Kossaka.

Byłbym jednak niesprawiedliwym, gdybym nie wspomni o należnym uznaniu o innych odpowiedziach, które tym n grodzonym nie ustępują w niczem. I tak: 12-letnia Saren wielbi cnoty królowej Jadwigi, która umiała poświęcić się d dobra kraju i wiary chrześcijańskiej. 11-letnia Jagódka w mownie opowiada o bohaterskim czynie Kąckiego, który w podziemiach Kamieńca łont zapalony ręką ugasił. 11-letnia Sosenska za wzór do naśladowania wybrała mędrca greckiego Sokratesa. 13-letnia Konwalia z Siedlec opisa z uczuciem wielkiem zasługi Apolinarego Zagórskiego, aut ra, który o własnych siłach prawie zdobył wyższą naukę a umiłował nauki przyrodnicze, pierwszy u nas pisał pr śliczne popularne pogadanki naukowe; umarł młodo, z wielk szkodą dla piśmiennictwa. 13-letnia Gwiazdka z Czerwon Rusi obszernie i umiejętnie opowiedziała o zasługach Klem tynty z Tańskich Hoffmanowej. 14-letnia Brzózka srebr słusnie oceniła Stefana Batorego. 14-letnia Sosenska z D browy Jana Kochanowskiego. 14-letnia Niezapominaj z Prusieka wielbi znów wielki czyn Regulusa Rzymianin Wreszcie panienka pewna, która zapomniała o pseudonym wybrała Leszka Białego za to, że cenił przyjaciela więcej k koronę.

A teraz, nie tracąc czasu, muszę obmyśleć inne zadani oby mi się tylko tak udało jak to, którego powodzenie wbi mię w prawdziwą dumę. Ale czy to pięknie dawać się dum unosić? Osądźcie same, łaskawe korespondentki i wy, mni łaskawi koledzy. Bo oto gotowy przedmiot do zadania: W jaśnić przykładami, w jakim razie duma jest uczuciem sz chetnem, chwalebny, a w jakim razie zdrożnem? Do k kursu mogą należeć czytelniczki i czytelnicy do lat 15-tu. O powiedzi będą przyjmowane do 15 Stycznia 1886 roku. Na lepsze będą drukowane i nagrodzone. Proszę nie zapomina o pseudonymie do druku, a zarazem o prawdziwem nazwisk i adresie dla wiadomości redakcyi.

Polecam się życzliwości czytelniczek i czytelników, serdeczny przyjaciel

Kazio.

P. S. Już list ten zakończyłem i podpis dodałem, ge w redakcyi dano mi jeszcze jedno zlecenie bardzo ważn z którym naprawdę nie wiem sam, jak sobie poradzić. Chcia bym bowiem o samych tylko przyjemnych i wesołych rzeczach rozmawiać z czytelnikami naszego Pisma. A tu kazano m powiedzieć coś takiego, co dla niektórych będzie nieprzyj mne, a dla wszystkich niezbyt wesołe. Oto zdarzyło się pr ostatnim konkursie, że jeden z kolegów, pewien ptak z okoł podbiegunowych, nadesłał jako rozwiązanie własnego utwor ustęp co do słowa przepisany z Encyklopedyi. Powołuję s na zdanie wszystkich czytelniczek i czytelników, czy kolega ten honorowo postąpił? Ja powiadam, że nie. Najpier młodzieniec ten usiłował wprowadzić w błąd redakcyę, wcale nie jest pięknie, powtóre chciał pokrzywdzić współz wodników, bo gdyby mu się był podstęp udał, zabrałby n grodę, należąca się słusznie innemu. A zatem, co tu b wełnę obwijać, byłby sobie przywłaszczył rzecz, na któ wcale nie zasłużył.

I ciekawym, jakaby mu ta nagroda mogła sprawić przyj mność? Książeczka, fotografia, notesik, to są drobne, niezbyt kosztowne przedmioty, które wówczas tylko mogą mieć wa tość większą, gdy są oznaką zaszczytnego odznaczenia. Le jeśli odznaczenie jest niezasłużone, zdobyte podstępem... to przestaje być zaszczytnem.

Ale jest jeszcze inny sposób wprowadzenia w błąd red kcyi, równie prawie niesumienny. Może się zdarzyć, że mł dzieź, chcąc lepsze wypracowanie przesłać, prosi o pom starszych; i co już jest najdziwniejsze, znajduje czasem osob które się na to zgadzają i dopomagają w podstępny czyn. Redakcyja nie jest w stanie sprawdzić, czy wszyscy, nadesył jący wypracowania, sami je napisali, lecz musi wyznaczyć n grodę za najlepsze. Jakaż na to rada? Oto redakcyja prze

sta moje odwołuje się do uczuć honoru wszystkich czytelników i prosi, aby zaufania jej nie nadużywali. Inaczej bowiem, żeby się jeszcze raz wykrył jakiś brzydki podstęp, byłibyśmy uszczeni zaniechać tych konkursów, które tak się wszystkim podobają, aby się nie stały powodem zgorznienia.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę Reginki.

(Dalszy ciąg).

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko, chociaż dla wszystkich panienek, rachujących niemal godziny, zdawało się, że czas złotym upływa krokiem. Nadszedł dzień oznaczony do odjazdu, w dworku pani Wolskiej było smutno, choć krzątano się z wawo. Rzecz tak ponętna dla dziewczynki, miała swoje ujemne strony, wybranie się do Warszawy, między ludzi obcych, dla rodziny wcale nie zamożnej przedstawiało nie mało trudności. Nikt tam ani na chwilę nie pomyślał o zbyt kosztownych strojach, nikomu nie marzyło się nawet, aby ubraniem zwrócić czyjąś uwagę na siebie, ale romianko to dobrze, że panienki potrzebowały wyglądać przyzwoicie, choć bardzo, bardzo skromnie. Największy był kłopot o okrycia i kapelusze, gdy naraz wujcio, słuchając raz tych narad, podniósł się, poszedł do swego pokoju, a wróciwszy z ręką każdej dziewczynce w ręce paperek jakiś i śpiesznie je oddał.

Cóż to było radości i podziwiania, gdy zobaczyły, że każda z nich miała w ręce dwadzieścia pięć rubli. Dwadzieścia pięć rubli! toż to skarb był tak wielki dla dziewczątek, wychowanych w mierności, że z razu nie mogły uwierzyć, aby te pieniądze istotnie do nich należały. Ale z kąd ten wujaszek zniósł tyle pieniędzy? nigdy sobie nie wyobrażały, aby mógł być tak bogaty. Zawsze był tak skromny w wydatkach, tak oszczędny, słyszały, jak nieraz mówił, że nie ma na to lub owo, tu dla nich od razu tyle pieniędzy nie żałował. Nigdy jeszcze tego nie było i dziewczynki nie mogły wyjść z podziwienia. Wprawdzie na jednę rzecz miał zawsze pieniądze, ale jakoś tak umiał upozorować różnemi stosunkami, że nie wracało to uwagi mieszkańcom cichego dworku. Rzeczą tą, o której nigdy nie zbywało, były pisma i książki, ale że dziewczynki wzrastały w pośród nich, nie zdawały sobie nigdy jasności sprawy, z kąd one się brały.

Usunięty więc został największy kłopot i tyle jeszcze mogło zostać pieniędzy. Było więc wesoło i gwarno, ale gdy wujaszek powiedział: „Jutro pojedziemy” nagle smutek wszystkich ogarnął. Pierwsze to rozłączenie w ich życiu, jakże im nie miało zapełnić smutkiem ich serc kochających? Zaczęły prawie żałować przyrzeczenia danego Jadwidze i Lence, że miały pozostać w swym cichym gniazdeczku, gdzie im było tak dobrze, wesoło, w pośród kochającej i zgodnej rodziny.

Widziały smutek ukochanej mateczki i babuni, choć tego wcale okazać nie chciały, i zazdrościły prawie Jadwini i Ewci, że pozostają w domu. Ale wujaszek jużby się cofnąć nie pozwolił, same widziały, że to niepodobna. Nadeszło wreszcie to „jutro” i dziewczynkom serduszką były niespokojnie, każdy bał się przerażał, szczeniście psa na podwórzu zdało im się zwiastować jakąś zmianę. A może... może się co stanie i nie pojadą.

Ala nic się nie stało, o drugiej po południu czwórka tłustych, niezbyt roślących szpaczków zaszła przed dworek, Franek, strojony świątecznie, palnął z bata, aż szyby zadrżały w okienkach, biedak nic nie wiedział, że to nie moda już teraz palić z bata tak głośno. On taki był dumny, i ze swych szpaczków dobrze utrzymanych, których uprząż czyścił od czasu, i z bryczki na resorach, którą mył w kanałku, trzepał i smarował, wreszcie i po sobie spoglądał, tak pięknie był ubra-

ny, miał taką śliczną czerwoną kamizelę, taki nowiuteńki granatowy spencerek, oho! z pewnością zawróci w głowie niejednej dziewczusze w Warszawie, bo i pawie piórko zatknął za czapkę. Jagusia wyniosła walizki i pudełka, ale jakoś nikt nie wychodził, nikomu nie było pilno. Franek się niecierpliwił, podcinał konie, które grzebały ziemię, okazując tem, że radoby iść jak najprędzej.

A w pokoju tymczasem dziewczynki płakały, całując kolaną babki i mateczki, ściskając małe siostrzyczki i Kazia, który więcej był zajęty trzymaniem na ręku Figielka, wyrwającego się gwałtownie, miał bowiem niekłamną ochotę odwiedzić także swego przyjaciela Kruka. Bóg wie jak długo byłoby trwało pożegnanie, gdyby nie wdanie się wujaszka, który zabrał dziewczynki i powsadzał na bryczkę. Cała służba wybiegła przyrzec się temu niebywałemu dotąd zdarzeniu, aby panienki odjeżdżały same i to na tak długo. Babunia i mateczka nakreśliły krzyżyk w powietrzu, Jadwinia przyrzekła Hance, że będzie ją wyręczać przy mateczce, Ewcia zaklinała się, że ani kaczki, ani te szkaradne *plosiaki* nie postaną w ogródku i na klombie. Kazio wołał za wujaszkiem, że nie puści Figielka, choćby był mocny, jak *sto piosów*. Franek znów palnął z bata, konie ostro ruszyły, jedno jeszcze od ust pożegnanie, jeden jeszcze krzyżyk, i bryczka znikła na zakręcie drogi.

List Hanki do matki.

Warszawa dnia 12 Grudnia 1876 r.

Moja serdeczna, droga Mateczko!

Już trzy tygodnie minęło wczoraj, jak wyjechałyśmy z domu, a chociaż dwa listy wysłałam do Matuchny i Babci drogą, nie rozpisywałam się w nich jednak obszernie, bo i nie miałam jeszcze bardzo o czém. Ale list dzisiejszy będzie bardzo długi, muszę Mateczce opisać wszystko porządnie, i już nie wspomnę ani razu, że mi tęskno, że czasem sobie trochę i popłaczę, ale wtenczas, gdy nikt łez moich nie widzi. Bo tu wszyscy dla mnie tacy są dobrzy, tacy serdeczni, tak uprzedzają me myśli nawet, więc byłoby im przykro, gdyby widzieli łzy moje.

Czy ja też przypuszczałam, Matusiu moja droga, aby ten wyjazd mój z Żabina przeciągnął się tak długo? Wybrałam się na dwa tygodnie, a tu przyjdzie mi lat parę przepędzić zdale od was, najdrożsi! Powinnam się cieszyć z tego, że ten kochany Wujcio daje mi możność kształcenia się w tylu pożytecznych naukach, przyznam się jednak Matusi, nieraz mi bardzo, bardzo przykro, że tam w domu niema mię komu zastąpić przy Tobie, droga Matko. Dziś, gdy już była z nas pomoc i wyreka, wyfrunęłyśmy z gniazodka, zostawiając wszystkie trudy gospodarstwa dla Ciebie, Matusiu jedyna. Ale da Bóg, że jeszcze wypoczniesz w spokoju, zobaczysz, Mateczko droga, jak ja będę pracować, wróciwszy do domu, a jakie my to korzyści ciągnąć będziemy z naszej pracy! Aż mi się głowa pali, gdy o tem myślę. Jakim cudownym sposobem ten Wujcio to wszystko urządził, to nie mogę doprawdy odgadnąć. Czy gdzie jaki skarb wykopał, czy na loteryi wygrał, czy co innego jeszcze się stało? Z kąd bierze na to, że opłaca za nas mieszkanie i naukę? Doprawdy, czasem mię strach ogarnia, że tyle kosztówłoży na nas, odmawiając sobie może najpotrzebniejszych rzeczy.

Zapytuje mię Matuchna, jak mi idą moje nauki. Wybornie, jak mi się zdaje, tembardziej, że mam ogromne zamiłowanie do tego, czego się uczę. Już to do krawieczyny miałam podobno zawsze dużo zręczności, urodziłam się prawie do tego fachu. Nie wiem, czy się dobrze wyrażam? Ale to mniejsza, ja się tego niedługo wyuczę, a takie śliczne suknie będę szyła Matusi, Babci i siostrzyczkom, że ludzie za głowy się brąc będą, jak to robili, patrząc na czarnego Murzyna ze skarbami w szkatule, którego zrobiła „Wiochna”.

Ogrodnictwo i pszczelnictwo zdaje mi się, że pójdzie mi również bardzo łatwo, chociaż ja największe korzyści myślę ciągnąć z nabiału. Matuchno, chowaj mi tylko krówki moje ulubione, a w przyszłości staną się one źródłem, z którego czerpać będziemy wielkie, olbrzymie dochody.

Żeby to te dwa lata minęły jaknajprędzej, lecz z korzyścią dla mego umysłu i wiedzy.

Babciuchna ciekawa, jak daleko zaszłam w stosunkach przyjaźni z Tolą; otóż bardzo nie mogę się jeszcze pochwalić, ale zdaje mi się, że na dobrej jestem drodze. Biedna ona, tak stroni od ludzi, mimo że ma nieprzebrane skarby miłości w swém szlachetném sercu. Jest ona anielsko dobra i łagodna, tylko wyrobiła się w niej dziwna niewiara w ludzi, lęka się ich, i zdaje ję się, że każdy doznaje wstępu, spojrzawszy na nią. Istotnie, pierwsze wejście nie sprawia miłego wrażenia, jednak gdy podniesie spuszczone zwykle oczy, ujmuje od razu za serce. Ach, Matuchno kochana, jakież to prześliczne te oczy Toli, doprawdy chciałoby się patrzeć w nie godzinami, cóż kiedy tak rzadko podnosi je na ludzi.

Ode mnie nie stroni bardzo, czasami uda nam się z Jadwiną wprowadzić ją w ożywioną rozmowę, wtedy zapomina o swém uprzedzeniu, staje się wesołą, dowcipną, bez złośliwości jednak, i doprawdy jest wówczas tak miłą, że nie widzi się ani ospą pooranej twarzyczki, ani garbu, który tak szpeci biedaczkę.

Matka Jadwini jest dla mnie zawsze bardzo serdeczną, i dobrą, pieści mnie nawet często, ale wśród tych pieszczot, dusza moja rwie się do Ciebie, Mateczko, do Babci i do wszystkich moich ukochanych.

Z Terenią widuję się parę razy tygodniowo, i ona i ja nie mamy czasu na codzienne odwiedziny. Wczoraj właśnie byłam u niej, mówiła mi pani Z., że Terenia bardzo wysoko stoi w naukach, podobno nawet profesorowie byli tęp zdziwieni, patrząc na skromną i nieśmiałą ję minkę. Nic a nic Lenka nie jest od niej wyżej. Ileż my wdzięczności winne jesteśmy Babci i Wujciowi, który doprawdy wcale nie wygląda na takiego uczzonego profesora, jakim się okazał w kształceniu nas. Terenia tak jest oddana naukom, że nie ma czasu jeść ani spać, jak powiada Lenka.

Żeby Matusia wiedziała, jak ja jestem rozkochana w pani doktorowej Z., to tego wypowiedzieć nie umiem. Jadwina opowiadała mi o niej cudowne rzeczy, jeżeli tylko połowa w tęp prawdy, to i tak panią Z. kanonizowałabym za życia. Przechodziła ona bardzo smutne koleje, piętnaście lat miała, gdy umarła jej matka, zostawiając pięcioro dzieci, w dwa lata stracili ojca i czy Matuchna da wiare, że ta biedaczka, mając lat siedemnaście, wychowywała pracą rąk własnych dwie małe siostrzyczki. Brat najstarszy był daleko, nie wiem dobrze gdzie, najmłodszego wzięła na opiekę jakaś pani, a dziewczęta oddać nie chciała nikomu, pracowała na nie, nie syjąc nieraz po nocach, dała im wykształcenie, posyłając je na jedną z pierwszych pensji w Warszawie.

Potem poznał ją, gdy chorowała, Dr. Z., chciał się z nią ożenić, ale odmówiła, aby ję siostrzyczki miały dom własny i nie były na łasce szwagra. A podobno biedaczka bardzo cierpiała, odmawiając tak zacnemu człowiekowi, bo miała dla niego wiele wdzięczności i przywiązania, nie chciała mu więc robić przykrości, a jednak poświęciła się dla sióstr swoich. Dopiero gdy starszą wydała za mąż, i to podobno bardzo dobrze, za jakiegoś obywatela z Lubelskiego, a młodszą za dyrektora cukrowni, wtedy zgłosił się znów Dr. Z. bo czekał na nią ciągle, wtedy, Matuchno, oddała swą rękę naszemu kochanemu doktorowi. A wie Matuchna, jak imię pani Z? ba, ządzeby Matuchna wiedziała; otóż imię ję Regina. Mnie się to imię bardzo podoba, a tak lubię, jak nasz doktor mówi do żony „Reginko”.

Ale co ja też robię, pisząc taki list sążnisty, lecz mam dziś więcej czasu, bo to niedziela, deszcz pada, nie wyjdziemy więc nigdzie, Tola bardzo zajęta lekcjami na jutro, (a jak mnie się zdaje, robi jakieś wypracowania dla niewdzięcznych koleżanek), Jadwinę głowa trochę boli, więc się położyła, zatem ja cichutko się zabrałam do listu i piszę, piszę, ani spostrzegłam, że to już tak dużo się nabazgrało.

Moja droga, kochana Matuchno, pisz do mnie jaknajprędzej, bo listy Mateczki, to już największa moja radość w tęp oddaleniu, które bądź co bądź przykre mi jest bardzo.

Do Babciuchny piszę dziś także, a Jadwinka niech mię zastępuje przy Matusi, jak to obiecała, przesyłam ję serdecznego całuska, jako też Ewci i Kaziulowi, a i do Wujaszka napiszę także osobno.

Całuję ręce i nogi Twoje, najdroższa, najlepsza Matuchno, kochająca i wdzięczna córka, Hanka.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe (Wiochna).

gnasz	kro	gie	brzui	ły	gdzie	śmiech	le
two	ści	że	kiem	cze	zda	mi	był
żym	dro	je	gdzie	ność	u	ka	dziś
ścia	po	szło	mnie	w świat	ka	zna	ku
przy	chy	ny	win	ny	na	mo	i
cię	wém	dą	dę	O	nie	dom	ro
ży	głos	znów	że	kiem	dzin	dę	gi
łza	gnam	o	czas	i	ły	mój	ny

Łamigłówka zgłoskowa (Elektryczność).

Z następujących zgłosek: a — bens — de — do — go — gon — gó — i — kot — la — ły — o — o — pat — ran — rek — ru — sa — san — ty — ułożyć wyrazy: 1. Produkt ogrodnicy. 2. Produkt zamorski. 3. Nazwa władców starożytnych. 4. Znakomity malarz dawniejszy. 5. Przełożony klasztoru. 6. Rodzaj czółna. 7. Rzeka w Galicyi. 8. Zwierzę domowe. 9. Wymarzone doskonałości. Początkowe litery, z góry do dołu odczytane, utworzą nazwisko, końcowe w tęp samym kierunku, imię zwycięzkiego wodza z XVI wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Zagadki:

Jajko.

Łamigłówki liczbowej:

Bolesław Śmiały — Bela — Oleś — Lew — Sława — Ława — As — Wały — Sawa — Masło — Ale — Łoś.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Żebrak wiersz (z drzew.) p. Z. Morawską. — Przygody wśród puszczy, opowiadanie młodego podróżnika napisała Z. Morawska. — Sprawozdanie Kazia z zadania konkursowego. — Prawdziwe bogactwo, przez autorkę Reginki (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Pawełek (z drzew.) — Siedmioletnia Gabryelka p. Gabryelę Puzyninę. — Wiązanie Stasi p. Ukrainkę na Mazowszu. — Co Zys i Janusia robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia, opowiedział Michał Krzemień (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów i ogłoszenia. Dodatek książkowy: Brat i siostra, powieść z niemieckiego.

PAWEŁEK.



imno, mroźno na dworze, śnieg pokrył ziemię po kostki, ale Pawełek zimna się nie boi, ma ciepły kubraczek, barankami podszyty, czapczkę dobrze wywątowaną, buciki z długimi cholewami i porządne, grube rękawiczki.

Pawełek był synem karczmarza, a karczma stała za wsią pod lasem, miał więc chłopczyńską kawał drogi do szkoły. Nigdy jednak ani jednego dnia nie opuścił, czy słońce, czy zamieć śnieżna, czy roztopy, on zawsze rano po śniadaniu ruszał do szkoły.

Musiał przechodzić przez las, a chociaż nie obawiał się wcale, bo i nie było czego, w tym lesie nie słyszano nigdy ani o rozbójnikach, ani o wilkach, zawsze jednak dla bezpieczeństwa zabierał z sobą podwórzowego Burka. Pies tak się przyzwyczaił odprowadzać Pawełka do szkoły, że jak tylko go obaczył z rana w ciepłym kubraczku i w czapczce, natychmiast przybiegał do niego, kręcąc ogonem i strzygąc uszami, jakgdyby chciał mówić:

— Jestem już, jestem, kochany chłopcze; ty spełniasz swój obowiązek, a ja swój. Idźmy więc do szkoły.

Podczas gdy Pawełek siedział w szkole i uczył się pilnie, roztropny Burek nie ciskał się za nim do izby, tylko biegał sobie w pobliżu i zapoznawał się z innymi psami. Czasem się z którym pokłócił trochę i bójkę stoczył, ale to się zdarzało bardzo rzadko, bo Burek nie był z natury kłótniwy i wtedy tylko zęby wyszczerzał, gdy mu kto do żywego dokuczył. Nigdy się nie zdarzyło, ażeby Burek się gdzie zawieruszył, gdy chłopcy wychodzili ze szkoły, zawsze czekał już na Pawełka, kręcił ogonem i poszczekiwał wesoło.

Wracali wtedy obaj żwawo do domu, a jeżeli się spóźnili na obiad, to nic jednak na tym nie tracili, bo matuczna zawsze dla Pawełka ciepłą strawę do pieca, a Burek dostawał resztki tego obiadu. Po obiedzie Pawełek biegł zaraz do izdebki, gdzie mieszkała staruszka Babunia, całował ją w rękę i mówił:

— Suche gałązki dla Babci są tu w sionce, niech Babcia wszystkie w piec włoży, żeby było ciepło, ja jutro znów przyniosę cały pęczek.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanku — mówiła Babcia i całowała wnuczkę w głowę.

Cóż to za gałązki i z kąd to je Pawełek przynosił dla Babci? Dzieci, czytające tę powiastkę, może się nawet dziwiły, że na obrazku Pawełek nie niesie książeczek, tylko ciągnie ten pęczek gałęzi. Ale my to zaraz wytłómaczymy. Babcia była kiedyś piastunką dziedzica, a pan ten nie zapominał o tym i różne dobrodziejstwa świadczył staruszce. Raz skarzyła się przed nim, że ją krzyż boli, że nie może już dźwignąć ani drzewa, ani węgla, i tylko wtenczas sobie bez wielkiego trudu w piecu rozpala, gdy ma pod ręką suche gałązki. A pan na to:

— Moja pocziwa Walentowa, toż ja dam wam pozwolenie zbierać suche gałęzie w moim lesie, który tu jest pod samym domem, ażebyście zawsze mieli czem sobie napalić w piecu.

— I polecił też dobry dziedzic leśniczemu i gajowym, żeby nie przeszkadzali starzej jego piastunce zbierać gałęzie w lesie. Ale nie zawsze to było tak łatwo tych gałęzi zbierać. Rodzice Pawełka byli ubodzy, mieli wprawdzie służbę, ta jednak przez cały dzień, od rana do wieczora, musiała siedzieć w izbie gościnnej i miała tam dużo roboty. Matka znów krzątała się, i przy kuchni, i około porządku domowego, a ojciec, to już i w domu i za domem miał ciągle pracy niemało.

Staruszka babcia wiedziała o tym doskonale i zawsze mówiła, że ona nie lubi, aby jej usługiwano i co mogła robiła sama. Nie śmiała już prosić dziedzica, który i tak bardzo był łaskaw, że na zbieranie gałęzi pozwolił, aby jeszcze wyznaczył kogo do tego zbierania, więc rzadko kiedy biedna starowina mogła z tego pozwolenia skorzystać. Aż raz Pawełek nagle uderzył się ręką w czoło i mówi:

— A co też to za niezdara ze mnie! a jaż to codzień przez las przechodzę, idąc do szkoły i widzę po drodze mnóstwo suchych gałęzi, a nigdy ich dla Babci nie zbierałem.

— Dajże ty pokój, dziecko — rzekła, słysząc to, Babunia — czy to ty mało masz roboty, jak wrócisz ze szkoły? Toż musisz ojcu pomóc, i konika dojrzeć, i podwórko powymiać, i wody przynieść matce; gdzie ty masz czas gałęzie dla mnie zbierać po lesie.

— Ależ ja, Babciu, nie potrzebuję umyślnie po to chodzić — mówił chłopiec — wracając ze szkoły będę tylko podnosił po drodze suche gałązki, jak którą obaczę i nazbiera się cały pęczek, nim dojdę do domu. A toż mi się przecież nic nie stanie, że o tym będę pamiętał i schylę się raz, i drugi, i dziesiąty.

I tak też zrobił Pawełek: nie potrzebował chodzić osobno po gałązki do lasu, ani nawet biegać po całym lesie, tylko idąc ścieżyną, ile razy zobaczył przed sobą lub obok siebie suchą gałązkę, schylał się, podnosił ją zręcznie i kładł na malutkie saneczki, które sobie sam do tego sporządził. Z rana wioził na tych saneczkach książki, uwiązawszy je moeno, ażeby nie wypadły, a potem, gdy wracał ze szkoły, znowu na spód kładł książki, a z wierzchu gałęzie.

A wiecież, dzieci, jaka tu jest dla was nauczka w tym opowiadaniu o Pawełku? Oto każde z was nieraz potrzebuje tylko pamiętać i schylić się, aby coś zrobić takiego, co może komuś pożytek przynieść. Tak na przykład dzieci, uczęszczające do szkół, corok zazwyczaj dostają nowe książeczki szkolne, a dawne, po większej części zniszczone, podarte, powalane, wyrzucają się gdzieś pomiędzy niepotrzebne graty. Gdyby te dzieci chciały pamiętać o tym, że dużo jest małych uczniów i uczennic, których rodzice są ubodzy i od ust sobie odejmować muszą, na kupienie takich książeczek, toby swoich tak nie psuły, a po ukończonym roku mogłyby je oddać ubogim kolegom i koleżankom.

Panienci mogłyby znów pomyśleć o tym, że są biedne kaleki, które proszą, jako o dar szacowny, o małe szmatki kolorowe, bo wyrabiają z tych szmatek różne przedmioty na sprzedaż. Gdyby więc panienci skrzętnie zbierały podobne niepotrzebne gałganki, kawałki wstążek, sukien lalczynek i własnych, składały je starannie w jakieś szufladce, miałyby potem wielką przyjemność, oddając to do zakładu Nieuleczalnych kalek. Takie panienci, schylając się tylko po każdą szmatkę, która ma być na śmietnik wyrzucona, spełniłyby dobry i pożyteczny uczynek.

Pomyślcie o tym, dzieci kochane.

SIEDMIOLETNIA GABRYELKA *).

Gabrynia pytała matki,
Czy przed ślepym można chwalić
Piękne niebo, piękne kwiatki?
Bo choć może to go bawić,
Ale razem żal obudzi,
Że on jeden pośród ludzi
Nie wie, jak pięknie na świecie.
Dobrze mówisz, dobre dziecko,
Miej wzgląd na nędzę ludzkości,
I słowa nieostrożnemi
Nie mów ślepym o jasności,
Ni o szczęściu przed smutnemi.

Gabryela Puzynina.

Wiązanie Stasi.

Wszystkie dzieci kochają swych rodziców, więc naturalnie i Stasia to samo czyniła, ale nie wiecie może (tak jak ona nie wiedziała) że są dwa rodzaje kochania, po których można poznać stopień przywiązania dziecięcia. Pierwszy rodzaj jest ten, gdy myślicie, że kochacie Mamę i Tatę, i głośno to objawiacie, a naczytawszy się o różnych czynach bohaterkich, wystawiacie sobie, że wy jesteście w tém położeniu, i układacie sobie, jakbyście się w danym razie poświęcali dla rodziców. Dzieci, bujniejszą wyobraźnią obdarzone, czasem nawet pragną i wyglądają jakiego niezwykłego wypadku, aby jak najprędzej pokazać, co są zdolne uczynić przez miłość dla rodziców.

Stasia tak samo myślała, i wiele wody upłynęło, wiele czasu przeminięło, nim się wzięła do drugiego sposobu, który jest zupełnie odmienny od pierwszego... ale wróćmy do Stasi.

Była to panienka bardzo dobrego serca, zdolna i pracowita, lecz szpeciło i zaćmiewało te przymioty to, że była nieposłuszna i kłótliva. Troskliwi rodzice napominali ją nieraz.

— Jak mnie kochasz, Stasiu — mówiła często Matka — popraw się, bo wady twe rosną wraz z tobą.

Dziewczynka zapewniała Mamę, że ją kocha, obiecywała, że będzie się starać być lepszą, i na tém się jej usiłowania kończyły. Odszedłszy od Mamy, Stasia wnet okazywała nieposłuszeństwo względem nauczycielki, lub kłóciła się z rodzeństwem, nie bacząc na przykrość, jaką wyrządza Rodzicom, a przecież ich kochała!

Zbliżały się imieniny Matki; rodzeństwo Stasi i ona sama zwykli przygotowywać na ten dzień podarunki dla drogiej Mateczki, lecz jakież było zdziwienie i smutek naszej dziewczynki, gdy Mama, zawoławszy ją na parę tygodni przed swymi imieninami, powiedziała, że ponieważ córeczka jej nie kocha, gdyż nie stara się ze swoich wad poprawić, więc też Mama nie przyjmie od niej żadnego podarunku. Nasza Stasia zbladła na te słowa, poczęła swoim zwyczajem przepraszać Mamę i obiecywać poprawę, ale Mama i słuchać nie chciała i nie pozwoliła się przepraszać. Biedna Stasia, odszedłszy do dzieciennego pokoju, rzuciła się na łóżko i długo płakała.

Usiłowała dziewczynka i potem przebłagać Mamę, lecz nadaremnie, gdyż po tylu próbach, Mama już żadnym obietnicom wierzyć nie chciała.

Stasi ręce opadły ze zmartwienia, nie dzieliła już żadnej zabawy, nie miała ochoty do niczego, i podczas gdy rodzeństwo robiło wesołe przygotowania do imienin Mateczki, licząc dni, które je oddzielały od upragnionego dzionka, ona rozmyślała nad swoim zmartwieniem. Stasia była rozsądną, więc po zastanowieniu przyznała, że kara tak przykra słusznie

ją spotyka, i sama się zdziwiła, jak mogła tak długo martwić rodziców.

Wiedziała z doświadczenia, że czynem a nie słowami trzeba dowieść Mamie przywiązania, umyśliła więc starać się o to usilnie, i ofiarować najdroższej Mateczce na wiązanie... swe zwalczone wady.

Zaraz po powzięciu tego postanowienia, wezwawszy opieki Boskiej, czekała już teraz z utęsknieniem imienin, a gdy nadszedł ten dzień upragniony, Stasia, ubrawszy się przy świecy jeszcze, pobiegła do rodzicielskiego pokoju i tam czekała niecierpliwie obudzenia Mateczki. Jakoż ta wkrótce otworzyła oczy, a Stasia wzruszona wyrzekła nieśmiało:

— O Mamo! pozwól, ach pozwól, abym ci złożyła na wiązanie usiłowania zwalczania mych wad; czy i takiego podarunku nie przyjmiesz? — ostatnie te słowa wymówiła niewyraźnie prawie, gdyż długo wstrzymywanym płaczem wybuchała.

Matka była także wzruszona, przycisnęła do piersi córeczkę, i po chwili wyrzekła te słowa:

— Ten dar przyjmuję, dziecko kochane, i więcej mię on uszczęśliwia nad wszystkie inne, gdyż wierzę ci, Stasiu moja, że nie bardziej nie cieszy rodziców, nad widok dzieci, które chcą być dobrymi, dla sprawienia im przyjemności. Uważałam ja przykrość, jaką ci sprawiłam, okazując się tak surową i Bóg widzi, ile mię to kosztowało, gdyż rodzice zawsze pragną jedynie szczęścia swych dzieci; lecz właśnie dla szczęścia twego ja ten gwałt sobie zadałam. Teraz jednak mam słodką nadzieję, gdyż przekonuję się, iż córka moja mię kocha i nauczyła się kochać prawdziwie. A spostrzegłszy, że Stasia wciąż pocichu płacze, dodała ta dobra Matka: — Pociesz się, dziecko moje i przypomnij sobie, że Bóg ceni więcej jednego poprawionego, niż dziewięćdziesięciu dziećmi dobrych.

Na te słowa dziewczynka podniosła główkę, otarła łezki, i mowy już o jej dawnych wadach nie było, gdyż Stasia ciągle te słowa miała w pamięci i rzeczywiście Bogu i ludziom miłą się stała; wszyscy dawali za wzór innym dzieciom *posłuszną i zgodną Stasię*.

Ukrainka na Mazowszu.

CO ŻYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień**.

(Dalszy ciąg).

— A ty, słoniu! a jedźże, a rusz się! — mówiły dzieci, pokładając się ze śmiechu, do starego, tłustego potwornie mopsa babcinego, który istotnie z powodu swego ogromu nie-
złe za słoniu mógł uchodzić.

W ten sposób przeszedł dzień jako taki, nie-
zajutrz dzieci, zmordowane wczorajszym kłopotem ze zwierzętami, zaspały cokolwiek, a w tém budzi ich dźwięczny głos Ciotki, ukazującej przeźdrzającą głowę w kapeluszu z nowym woalem.

— Do widzenia, moje dziateczki — woła Ciotcia — śpijcie spokojnie, ja wam snu nie przerwę, bo jadę daleko, aż na Tamkę, do Św. Kazimierza, gdzie mnóstwo dziatek uczy się zarabiania na życie.

Na to wołanie Ciotki, dzieci zerwały się z łóżek natychmiast i odrzucając zrozumiawszy zwykłe żarty Cioci, zaczęły wołać ze wszystkich sił:

— Ciociu! Ciotunieczko, nie udawaj też, że o nas nie dbasz, bo my dobrze wiemy, co sobie myślisz i że budzisz nas po to, abyśmy szli z tobą: zaraz za małą chwilkę będziemy gotowi.

Tak mówiąc, dzieci żywo wzięły się do ubierania, mycia, czesania, zimna jak lód woda prosto z kranu w kuchni aż pluskała, gdy się myli oboje, a potem wypadłszy z kuchni, jedno i drugie wołało tylko: „brr! brr! zimno!” i ubierali się gwałtownie, aż ubrawszy się, wpadli do pokoju jadalnego, wołając:

*) Wierszyk ten wzięty jest z książeczki pod tyt: „Dzieci litewskie”. Autorka zebrała w tej książeczce prawdziwe zdarzenia, z życia znanych sobie dzieci.

— Już Ciociuniu! już! już jesteśmy gotowi! Dzień dobry babuni!

Ciocia właśnie najspokojniej w świecie piła kawę z Babcią, a była bez kapelusza, bo jej się ani śniło bez nich wychodzić, tylko śmiała się po swojemu z ich wielkiego pośpiechu i kłopotu, aby bez nich nie poszła. Dzieci to wszystko wybornie rozumiały, bo trzeba wiedzieć, że młoda Ciocia Ludka naumyślnie tak zwykła była śmiechy i żarty z dziećmi wyprawiać, aby zabawić Babunię, która od śmierci Dziadzi, jakkolwiek to się dawno już stało, była bardzo smutna i rodzina obawiała się, aby też i Babcia nie zapadła w chorobę z tęsknoty; a otóż wesołość otaczających ją wnuków i dzieci miała własność rozchmurzania Babuni i przeto Ciocia Ludka, najmłodsza z dzieci, starała się zawsze śmiać, żartować i dotrzącać z siostrzeńcami, aby rozchmurzyć Babcie i w dobry humor ją wprowadzić. I teraz Babunia śmiała się przecież wesoło, co niezmiernie cieszyło Ciocię i dzieci. A potem, dawszy ukochanym wnuczętom najlepszej kawy, jaką w Warszawie znaleźć można, i Babunia spytała Cioci, czy ona tylko żartuje, czy też myśli naprawdę ich gdzie zabierać? bo w takim razie trzeba wprzód podeszywać albo nowe kupić rękawiczki, które im małpki w ogrodzie zoologicznym podarły. Dzieci zakłopotaly się, Babcia dostała pieniędzy i dała im rękawiczki i wszyscy spoglądali na Ciocię, która tymczasem z apetytem jadła sobie śniadanie, jakby nie uważała dziwny kłopotu, tylko na Babci pytanie odpowiedziała tajemniczym mrugnięciem. Wtém spojrzę dzieci, a tu z obu kieszeni Ciotki wyglądają caluteckie dwie pary ich rękawiczek, pozywanych tak ślicznie, jak to tylko Ciocia potrafi, że ani śladu nie było rozdarcia. Powyciągały tedy dzieci swoje rękawiczki z owych kieszeni, podziękowały Cioci pięknie, oddały Babcie pieniądze i w chwilę później szły już z Ciocią przez ulicę, potem wsiadły do dorożki i pojechały Krakowskiem-Przedmieściem i Nowym-Światem, a potem w bok na lewo na ulicę Tamkę, z góry na dół ku Wiśle. Dorożka stanęła u wejścia do małej i krótkiej uliczki, zakończonej w głębi bramą.

Ciocia wysiadła, pomogła dzieciom wysiąść, zabrała z dorożki nieduże ale dość ciężkie zawiniątko, zawierające sztukę płótna i wszyscy poszli ku owęj bramie. Nie kołając do niej wcale, Ciocia otworzyła małą furtkę z boku i wszyscy wyszli na bardzo duży, wesoły dziedziniec, brukowany porządnie. W kącie małych oficynek stało na prawo od bramy, ale Ciocia tam nie poszła, tylko prosto szła do dużego domu, stojącego w pośród dziedzińca. Weszli wszyscy do dużej, roztwartej sieni. Dopiero wszedłszy po kamiennych schodkach, ujrano na prawo i na lewo szerokie i długie, prawdziwie klasztorne korytarze, a przed sobą drzwi mocne i zamknięte na klamkę. Tak tylko Ciocia dotknęła tej klamki i drzwi ciężkie ze skrzywieniem zaczęły się z wolna obracać, bo waga przywiązana była i nich, zaraz z owego bocznego korytarza wyszła ze drzwi uchylonych niemłoda, czysto ubrana kobieta i pytała, czego Ciocia żąda? a otrzymawszy odpowiedź, że idzie do szwalni, kiwnęła tylko głową i zniknęła znowu w bocznym korytarzu.

Ciocia z dziećmi, gdy drzwi z wagą zamknęły się za nimi, przeszła przez sieni, wiodącą na przestrzał przez dom na drugi dziedziniec. Tu zszedłszy po kilku schodkach kamiennych, dzieci aż ręce złożyły z zachwyty, bo chociaż to była zima i nie ujrzały tam nic nadzwyczajnego, przecież łatwo było domyśleć się, jak tam latem musi być ładnie i świeżo. Dziedziniec ten kwadratowy otoczony był szczerlnie klasztornym domem w kwadrat. W samym środku dziedzińca na podwyższeniu wznosił się ładny posąg N. Panny z białego gładu, niby zjawisko nadziemskie, wychylające się ku niebu latem, jak zapewniała Ciocia, z gęstwin zieleni i kwiatów otaczających mu stopy; cztery kłaby pełne drzew i krzewów zajmowały także cztery rogi dziedzińca, zamieniając go w cienisty ogród, a pomiędzy kłabami stały ławki, na których kiedyniekiedy przysiadła na chwilę żwawa, ale znużona bieganiem koło domowego gospodarstwa, Siostra-Miłosierdzia, z różańcem w ręku.

Przeszedłszy środkiem przez ten ogród, dzieci weszły do

drugiej takiej samej sieni, jak pierwsza, wstąpiły jeszcze kilka schodków wyżej i po obu jej stronach przez liczne okna ujrzały duży ogród; latem ogród ten jest pełen warzywa, liczne huštawek, karuzeli i trawników, jakby umyślnie do jakiej zabawy przeznaczonych. Wtém Ciocia otworzyła drzwi w głębi i weszła do wielkiej sali wraz z dziećmi, które osłupiały i zaniemówiły na widok, jaki się oczom ich przedstawił. O, przecież choć nie w lesie były wychowane i widywały ludzi i dzieci, to takiego niesłychanego mnóstwa dziewczątek, zgromadzonych razem, nie oglądały dotąd nigdy w życiu. Cała sala ogromna i widna zastawiona była ławkami, na ławkach siedziały dziewczątka porządkiem, od malutkich do prawie dorosłych, jednakowo zupełnie ubrane, bardzo czysto i oszczędnie, każda trzymała w ręku kawałek bielizny, rękaw, stanik, kołnierz, mankiet i szyla pilnie, a wszystkie razem śpiewały pieśń poranną: „Wszystkie naszeienne sprawy”. Pomiędzy niemi tu i owdzie ukazywały się Siostry-Miłosierdzia, pilnując ich roboty i ucząc, jak szyć i jak śpiewać mają.

Ciocia ukloniła się tylko Siostram, wymieniając z niemi, zwykłe chrześcijańskie pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i przeszła do mniejszego bocznego pokój, wiedząc dobrze, gdzie iść należy, ponieważ nie pierwszy raz tam przychodziła. Ten drugi pokój miał tylko jedno okno, wychodzące także na ów ogród pełen huštawek, przy oknie stała maszyna do szycia i dziewczynka ubrana tak, jak wszystkie, ale jedna z doroślejszych, szyla wprawdzie na tej maszynie. Dalej stało tam małe biurko, dwie szafki zamknięte, kilka krzeseł, kanapka włosienicą kryta i stół podłużny przed nią. Ciocia usiadła, dzieci przypatrywały się wszystkiemu ciekawie, a wtém weszła Siostra-Mistrzyni, jak ją tam nazywają i przywitała znów Ciocię po chrześcijańsku, a Ciocia zaraz rozwinęła płótno i zaczęła się między paniami rozmowa o tém, co i jak ma być z tego płótna skrajane i uszyte. Rozmowa ta ciągnęła się dosyć długo, ale dzieciom, to jest Zysiowi i Janusi, zdawało się, że ani jednej minuty nie trwała, bo one przez ten czas rozglądały się na wszystkie strony. Wtém mistrzyni zapisała sobie ołówkiem na tej samej sztuce płótna to, co Ciocia jej mówiła, jak ma być co z niej zrobione i zamknęła ją mistrzyni pod klucz do jednej z dwóch szafek powiedziała, że bielizna nie przedźwie jak za trzy tygodnie może być gotową, poczem Ciocia pożegnała się, wzięła dzieci za ręce i wyszła z niemi napowrót na korytarze, w których bez niej mogły być zabłądzić, a teraz szły jak odurzone tém, co widziały. Jednakże lepiej się rozpatrzyły teraz w korytarzach, gdy po raz drugi je przechodziły, widziały zatem, że tuż zaraz wracając od szwalni drzwi do bocznego korytarza, które były otwarte, a wtém Ciocia weszła i usiadła i znowu zaczęła szyla, a dzieci ujrzały, że są w ślicznym kącie w ławce i szepnęła Janusi, siadając.

— Przypatrz się temu *anteped* i poduszkom do opierania księgi, leżącym na stole, wszystko są własne robótki zakonne, mogą śliczny swój kościółek.

Pomodliwszy się chwilę, dzieci znowu i dalej szły korytarzami napowrót, widziały ten śliczny ogród na dziedzińcu, aż wyszły na ulicę i przeszedłszy ostatnie wielkie progi na ulicę.

— O, Ciociu! — zawołała wtedy też jabym nie mogła z czasem także śpiewać z sierotkami, ozdabiać kościółek i czystych ogrodach?

Gwiazdka geografii

R

Zastąpić kropki literami, aby odczytać nazwę tego szczytu. 2. Półwysep w Azji. 3. 4. Prowincja Austrii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Zagadki:

Mieczysław 1-szy.

Skrzynka do listów.

Chomik zapytuje o swoje łamigłówki, lecz nie jesteśmy w stanie objaśnić, co się z nimi stało. Musiały się zarzucić, może też wykryły się w nich jakieś niedokładności i dla tego nie były drukowane. Łamigłówek nadchodzi zwykle wielkie mnóstwo, najlepsze zaraz się odkładają osobno i tych już z pewnością druk nie minie. Co do innych, czasem po prostu z powodu braku miejsca muszą być odrzucone.

Madzia R. bardzo dobrze zrobiła, że poszła za przykładem starszej siostrzyczki i napisała taki ładny liścik do redakcji. Kaligrafia, jak na taką małą dziewczynkę, wcale jest niezła, niech tylko Madzia jaknajdłużej pisze w dwóch liniach i dużymi literkami a będzie z pewnością z czasem porządnie pisała. W Dodatku dla małych dzieci postaramy się wydrukować takie ładne powiastki, ażeby Madzię lepiej jeszcze zabawiły, niżeli rozmowa z laleczką. Znamy jedną dziewczynkę, która Dodatek z „Wieczorów” czytuje swojej laleczce. Może i Madzia spróbuje to zrobić?

Sosenka słusznie powiada, że niepodobna dawać dłuższych odpowiedzi na liściki, bo chociaż podobałoby się to z pewnością korespondentom, innym czytelnikom mogłoby się nie podobać. Autorka powieści: „Na tle swojskiem” z przyjemnością się dowie, że legenda o Herburtach tak zachwyciła kochaną Sosenkę.

Konwalii z pod Lublina przesyłamy następujący liścik:

„Kochana Konwaliko! Twój pseudonym bardzo mi się podoba, chciałabym się z Tobą poznać przynajmniej listownie, skoro inaczej być nie może. Napisz mi, ile masz rodzeństwa i jak się nazywają, czy się uczysz w domu, czy na pensyi. Przesyłam Ci pozdrowienie,

Sosenka”.

Pliszka z nad Gopla nadesłała szaradę, w której rymy nawet na szaradę są trochę z zanadto częstochowskie. Niechno Pliszka zada sobie więcej czasu i coś lepszego wymyśli. Że powieść „Przedziwne bogactwo” na przyszłość przyczyni się do tego, że o tym czytelnicy nie zapomną, nie zadługo przekonają. Autorka chciała tylko z poczyniny Matki być troszkę pobudzić, co też jej się udało.

przyjemność nam sprawił tak obszernym. Co to za przyjemność być musiała dla omagać Ojcu w robotach inżynierskich, i tyle ciekawych rzeczy poznać. Wilco powrocie do domu niezbyt uważnie koro się skarży na brak zadań konkursowych w N-rze 40-tym, a drugie jest nie wątpimy, że Wilczysko wkrótce otrzymuje tego, który tak nieszczęśliwie został cieczi. „Kronika” zaprenumerowana, uczniowi.

my następującą odpowiedź od Wilczyska: „Ojciec, mimo że obrałem sobie przydomek Wilczy, wierzę naszemu krajowi, wcale nie mam jego lubię towarzystwo, choćby i młodszych od zatem zawieram z Derkaczem znajomość. (lu) mam lat 12. Mam dwóch młodszych braci, imiennika Derkacza. Obydwaj wielcy (o trochu) tak, że chwile wolne od nauki spędzamy w azywaniach i figlach. A czy Derkaczowi chłopców?”

Wszystkich czytelników prosimy, aby przy odnawianiu prenumeraty dołączali drobne, choćby najdrobniejsze kwoty pieniężne dla tego zdolnego a ubogiego bardzo ucznia, który już raz z darów ich opłacił wpis i szkolne książki kupić.

DZIEJE STAREGO TESTAMENTU

W SKRÓCENIU, Z KSIĄG PISMA ŚWIĘTEGO

OPOWIEDZIANE

przez Maryą Hempel.

Cena Rs. 1.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
3—1

Rok 1885/6.

NA GWIAZDKĘ!

NAJNOWSZE KSIĄŻKI I NUTY

stosowne na podarki

WYDANE NAKŁADEM KSIĘGARNI I SKŁADU NUT

FERDYNANDA HOESICK'A

w Warszawie, ulica Senatorska Nr. 496.

Do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Osoby na prowincyi zamieszkałe, wypisujące z katalogu tego pocztą za rs. 5 lub więcej, kosztów przesyłki nie ponoszą.

BAŚNIE I PODANIA LUDU POLSKIEGO, 6 klechd Wójcickiego, z 12-ma przesłicznymi obrazkami (kostiumy narodowe) Wł. Szymanowskiego, z ozdobną ryciną kolorowaną na tytule. Cena rs. 1 50 kop.

DZIEJE NOWOŻYTNE W OBRAZACH, przez Z. Zajackowską. Życiorysy, Charaktery i fakta historyczne. Cena w ozdobnej oprawie rs. 2 kop. 40 w zwyczajnej oprawie rs. 2, bez oprawy rs. 80 kop.

HISTORIA POWSZECHNA W OBRAZACH, 3 tomy. Obejmujące Historię starożytną, wieków średnich i nowożytną, przez Grube'ą z dodaniem historii Słowiańszczyzny, opracowała Z. Zajackowska. Cena w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 60, w opr. zwyczajnej rs. 5 kop. 50 bez opr. rs. 4 50 kop.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO, naśladowała z oryginału Biara M. Zielińska. Przygody wędrowców w Ameryce, z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50, w opr. zwyczajnej rs. 1 kop. 20 bez opr. rs. 1.

KOPCIUSZEK. Powieść dla dorastających panienek przez Teresę Jadwigę, z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50 w opr. zwyczajnej rs. 1 kop. 20 bez opr. rs. 1.

165 POWIASTEK DLA MAŁYCH DZIECI, od 6 do 9 lat, p. Zofia z Rymanowa. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 50, w opr. zwyczajnej rs. 1 kop. 20, bez oprawy rs. 1.

UROCZA WARSZAWIANKA. Podarek muzyczny, 16 nowych tańców na karnawał 1885/6 z przesłicznymi rycinami. Album muzyczne. Cena rs. 2.

SZKOŁA NA SKRZYPCE GÓRSKIEGO. Część 3-a. Cena rs. 2 kop. 50.